

Krzysztof Domański

Równanie



Równanie

wydanie pierwsze, ISBN 978-83-67348-47-8

© Krzysztof Domiński i Wydawnictwo AgraFka 2023

Redakcja i Korekta

Anna Jakubek

Skład i Łamanie

Olena Tunik-Mozgovenko

Okładka

Krzysztof Fabrowski

Druk i Oprawa

Druk-24h.com.pl

Wydawca

Wydawnictwo AgraFka

ul. Macierzankowa 15

64-514 Przeclaw

e-mail: wydawnictwo.agrafka@gmail.com

www.wydawnictwoagrafka.pl

Nic w życiu nie jest nam dane dwa razy.

Rozdział 1

Niepokój był niemal namacalny palcami.

Świt dobiegał końca. Wypłowieło granatowe chmury, których końcówki rozświetlały promienie słońca, tworząc refleksy podobne do kosmyków włosów, wiatr porozrywał i poszarpał jak watę, rozciągając je wzdłuż horyzontu. Poranek był jeszcze chłodny, jak przystało na początek kwietnia. Pozostałości nocnej mgły rozciągnęły się nad taflą Swimming River, tworząc coraz to cieńszą powłokę, która miejscami zaczynała pękać jak porozciągany do granic wytrzymałości materiał. Skupisko cieni zaczynało się przerzedzać, by z pierwszymi promieniami słońca nabrać kształtów i wyrazistości pobliskich drzew i zabudowań.

Glen Richardson biegł jak co dzień wzdłuż południowego brzegu rzeki, stąpając po podmokłej, błotnistej drodze i przeskakując zebrane na niej kałuże. Zapowiadał się kolejny długi dzień pracy w warsztacie. Ciesząc się świeżością poranka i wolnością wyczuwalną w powietrzu, nie mógł się jednak wyzbyć wrażenia, że tej nocy coś wstrząsnęło Red Bank. Coś nie jest na swoim miejscu, jakby jakaś siła zniszczyła utarty porządek rzeczy, przedstawiając trybiki i sprawiając, że cała maszyna przestaje funkcjonować. Jako mechanik wiedział najlepiej, że nawet najmniejsza usterka może pociągać za sobą kolejne, większe. Zdrowy rozsądek uspokajał myśli zatrute niepokojem niewiadomego pochodzenia.

Biegąc w stronę mostu, mijał ogrody kolejnych domów, najczęściej odgradzone od ścieżki żywopłotami bądź parkanami, za którymi ludzie starali się schować resztki swojej prywatności. Spoglądał na drugi brzeg rzeki, na którym ciemny las nabierał kształtów, a korony drzew wybijały się na tle coraz jaśniejszego nieba.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca, które usiadły na jego twarzy, poczuł przypływ dodatkowej energii. Wtedy to też rosa skraplała się, osiadając na wszystkich organicznych tkankach, jakie mgła spotykała na swojej drodze, a zimne jeszcze powiewy wiatru ścinały ich zewnętrzną powierzchnię, tworząc zastygłe i gęste, aczkolwiek jeszcze płynne w środku cząsteczki wody.

Właśnie takie ich skupisko zobaczył Glen Richardson na ciele Elzy Hook, bezwładnie zwisającym z barierki kolejowego mostu. Pozbawione ubrań, nagie ciało młodej fryzjerki nie świeciło już tym blaskiem, który oczarowywał męską część mieszkańców miasteczka. Zwiotczałe mięśnie, zwisające w nieładzie, ciemne włosy i blady odcień skóry, po której od klatki piersiowej aż po końce palców ciągnęła się bordowa struga zaschniętej krwi, wypływającej z ran wprost do rzeki, przyprawiały prędzej o mdłości niż o zachwyty.

Szok, jakiego można doznać po takim odkryciu, z początku każe wyprzeć ze świadomości spotkany widok. Jednak kolejne spojrzenie nie pozostawiało już wątpliwości. Czytałem o tym morderstwie w gazetach. Pojawiła się nawet krótka wzmianka w wieczornych wiadomościach. Choć było to stosunkowo niedaleko,

cały Nowy Jork, ze swoją rosnącą conocną statystyką gwałtów i rozbojów, zdawał się wchłaniać informacje o pojedynczych incydentach w pobliskich miasteczkach jak mrowisko, w którym indywidualności ginęły w liczebności ogółu.

Podobno sprawą zajęło się FBI. Podobno śledztwo przebiegało szybko, choć media nie podawały żadnych szczegółów, tak jakby umówiono się, że będą najzwyczajniej unikać tematu, skupiając się na starcie ligi NFL oraz wizycie rosyjskiego chóru, który gościł w dziewiczej trasie po USA. Minęło kilka tygodni i świat był przekonany, że morderstwo w Red Bank już nigdy nie będzie go dotyczyć. Nikt nie spodziewał się, że wydarzenia nadchodzącego lata zmienią tę świadomość bezpowrotnie.

Do Nowego Jorku przyjechałem trzy lata temu. Był środek października. Jakby mało mi było chandry po rozwodzie z żoną i rozstaniu z nastoletnią córką, Nowy Jork powitał mnie zapłutymi deszczem oknami, a mieszkanie, które wynajmowałem, wychodziło na północną ścianę, redukując nasłonecznienie do absolutnego minimum. Metalowe schody zakręcone wokoło windy były tak nowojorskie jak plaże na Florydzie czy też lewostronny ruch w Wielkiej Brytanii.

Zapewne w dużej mierze jest to zasługa filmowców, którzy skupiają się wciąż na tych samych detalach, przez pryzmat których większość świata, dla którego to jedyna droga odwiedzin obcego kontynentu, postrzega całość miast i państw. A Nowy Jork to nie tylko Wall Street, zewnętrzne schody przeciwpożarowe,

po których zazwyczaj uciekają mordercy, czy też Statua Wolności, choć moja klatka schodowa mogłaby z całą pewnością zagrać drugoplanową rolę w kolejnej z produkcji Hollywood.

Minęło sporo czasu nim urządziłem szeroki loft na tyle przytulnie, by można go było nazwać mieszkaniem oraz by przebywanie w nim napawało spokojem i pozwalało, mówiąc kolokwialnie, naładować baterie. Na całe szczęście posada na Uniwersytecie pozwalała mi stanąć na nogi o wiele szybciej, niż się spodziewałem. Oddawałem się pracy często ponad wszelkie normy czasowe, ale dzięki temu nie byłem zmuszony walczyć z myślami w domu czy z obcymi, wieczornymi drogami w centrum miasta. I choć miałem doktorat z psychologii, analiza samego siebie i najbliższych mi osób wciąż była rzeczą trudną, żeby nie rzec – niemożliwą. A co było dla mnie najbardziej bolesne – traciłem kontakt z córką.

Pamiętam Ann jeszcze z czasu, gdy stawiała pierwsze kroki, a wspólnie z Lindą wybieraliśmy dla niej sukienki i przebrania na Boże Narodzenie, w których wyglądała przekomicznie. Siadaliśmy wtedy przy stole, patrząc, jak Ann niezdarnie brudziła strój renifera, zahaczając rogami o miskę z ponczem. Byliśmy szczęśliwi i nigdy nie podejrzewałbym, że przyjdzie nam się rozstać i zostawić za sobą bezpowrotnie tamten stan. Ale czas jest najbardziej niedocenianym ze wszystkich przeciwników. Nigdy mu się nie spieszy i zawsze zwycięża.

Toteż starałem się już z nim więcej nie spierać i zbliżałem się do końca wykładu pierwszoroczników o temperamentie i jego wpływie na zachowanie w stresujących sytuacjach, kiedy do

auli wszedł mężczyzna w garniturze i, usiadłszy w ostatnim rzędzie, przyglądał mi się z wysoka. Zrobiłem jedynie krótką pauzę w zdaniu, po czym bez przeszkód dotarłem do końca zajęć. Dopiero kiedy zakończyłem wykład, wszyscy studenci udali się do wyjścia, podczas gdy mężczyzna schodził powoli po schodach w moim kierunku. Był dosyć wysokim, barczystym i postawnym człowiekiem o kruczoczarnych włosach i szpiczastym nosie, a jego wyraźnie zarysowane rysy twarzy świadczyły o wrodzonej pewności siebie. Sądząc po nienaganności w doborze garnituru, lekki, jednodniowy zarost mógł świadczyć o tym, że dzisiejszego poranka spieszyło mu się na tyle, że nie zdążył się ogolić.

– Doktor Carter? – zapytał, zstępując z ostatniego schodka i chwilę później wchodząc na katedrę.

– Tak, a kto pyta?

– Andrew Donaldson, FBI – przedstawił się, wyjmując odznakę, filmowym gestem wyciągając ją przed siebie na zgiętej w łokciu dłoni.

Z początku zastanawiałem się, czego może chcieć ode mnie agent federalny. Być może miało to związek z moją przeszłością, kiedy to przeprowadzałem badania oraz opiniowałem każdego rekruta, przechodzącego testy do specjalnej jednostki komandosów Seals. Sprawność fizyczna była tylko niewielkim ułamkiem tego, czego wymagano od kandydata. Na polu walki nawet najtęższy człowiek będzie bowiem nieprzydatny, kiedy sparaliżowany strachem umysł odmówi nad nim kontroli, bądź co gorsza – obróci się przeciwko swoim i w szaleństwie zacznie strzelać do kolegów.

Tego chyba dowództwo obawiało się najbardziej i dlatego też moja opinia była jedną z najważniejszych w całej rekrutacji. Wystarczyło krótkie „nie”, by zaprzepaścić szansę niejednego z tych wielu młodych mężczyzn, dla których często ta służba była największym marzeniem, do jakiego od lat dążyli. Niestety spora część kandydatów wybierała wojsko jako opcję ostatnią z możliwych, ucieczkę od problemów, bądź – co najgorsze – sposób uzeńtrznienia i ujścia dla swojej zagotowanej agresji. Toteż tak rzadko mówiłem „tak”. Ale to było w Chicago, w jednostce marynarki wojennej, a przede mną stał agent FBI z Nowego Jorku. Chodziło zatem o coś zupełnie innego.

– Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

– Oczywiście – odpowiedziałem, pakując materiały z wyciądku do teczki i zamykając pokrywę laptopa. – Jak mogę panu pomóc?

– Wolałbym gdzieś w bardziej kameralnym miejscu.

– Może w biurze?

– Byłoby idealnie.

– Proszę dać mi chwilę – odparłem, zapinając teczkę i wyłączając projektor na dotykowym ekranie wbudowanym w biurko katedry.

Chwilę potem siedzieliśmy już w moim biurze. Zaproponowałem kawę, jednak agent Donaldson odmówił, twierdząc, że od wczoraj przyswoił już tyle kofeiny, że następna kawa z pewnością wycisnie mu gałki oczne z oczodołów. Nie nalegałem.

– Co zatem pana do mnie sprowadza, panie Donaldson?

– zapytałem, siadając w swoim fotelu. Jako doktor z wieloletnim stażem miałem przywilej posiadania własnego, jednoosobowego gabinetu.

– Słyszał pan może o morderstwie dokonanym w Red Bank niecałe trzy miesiące temu? Kobieta, trzy rany kłute, a ciało powieszono na moście kolejowym.

– Tak, przypominam sobie coś. Pisano o tym chyba w gazetach, aczkolwiek nie kojarzę finału śledztwa. Czy złapano sprawcę?

– Właśnie w tej sprawie do pana dziś przychodzę. Nie muszę chyba dodawać, że wszystko, co dziś pan tutaj usłyszysz, jest poufne i niezależnie od decyzji, jaką pan podejmie, dla dobra śledztwa nie wolno panu tych informacji przekazywać dalej?

– Oczywiście, nie zamierzam wchodzić w konflikt ze stróżami prawa. – Detektyw jedynie uśmiechnął się z mojej prewencyjnej i książkowej odpowiedzi.

– Przez pięć lat był pan konsultantem marynarki wojennej do spraw rekrutacji komandosów i zapewne zetknął się pan z wieloma przypadkami maniaków wojny, agresji, ale też i skrytych potencjalnych morderców, cierpliwych, dokładnych, czerpiących satysfakcję ze swojego dzieła.

– Zgadzam się, choć nie w całości – odparłem. – O ile pamiętam, nie było przypadków zabójstw wśród rekrutów.

– Chodzi o pańską wiedzę i doświadczenie – kontynuował Donaldson. – Śledztwo w sprawie zabójstwa Elzy Hook utknęło w martwym punkcie, a na domiar złego wczorajszego wieczora

pojawiła się druga sprawa, która, jak sądzimy, może mieć związek z pierwszym morderstwem.

– Przykro mi, panie Donaldson, ale muszę uprzedzić, że nie jestem specjalistą w temacie dochodzeń policyjnych, i mogę zapewnić, że wśród pańskich kolegów z pewnością znajdą się psychologowie, którzy pomogą w ustaleniu portretu sprawcy, bo o to zapewne chodzi, prawda?

Detektyw przytaknął głową.

– Proszę mi wierzyć, doktorze, nasi psychologowie to jedni z lepszych specjalistów w swoim fachu. Każdy jest jednak człowiekiem i każdy, po latach pracy, może zostać więźniem stereotypów. Chciałbym, aby został pan naszym konsultantem, ponieważ przyda nam się zdanie i spojrzenie osoby świeżej, osoby z zewnątrz.

Sięgnąłem po butelkę soku pomarańczowego stojącego na biurku i nalałem pół szklanki. Wziąłem łyk, głęboki oddech i oparłem się wygodnie w fotelu.

– Z całym szacunkiem, panie Donaldson, jestem dość zajętym pracownikiem naukowym i poza wykładami uczestniczę też w badaniach tutaj, na uczelni. Obawiam się, że nie znajdę tyle czasu, by pomóc wam w śledztwie w pełni efektywnie.

– To tylko konsultacja, nie zajmie panu zbyt wiele czasu.

– Mimo wszystko, dziękuję za uznanie i propozycję, ale muszę odmówić. Rozumie pan, że czasami jest to konieczne, by nie wpaść w pułapkę ilości na rzecz jakości.

Detektyw Donaldson wstał i poprawił marynarkę, spod

której wyjął szarą kopertę, kładąc ją na biurku, tuż obok mojej lampki.

– Gdyby zechciał pan zerknąć na zdjęcia z miejsc zbrodni, być może zmieniłby pan zdanie.

– Naprawdę, nie uważam tego za konieczne.

– Proszę je zachować, mam kopię – odparł detektyw, zapinając marynarkę na jeden guzik. – Tu jest moja wizytówka. Gdyby zmienił pan zdanie, proszę zadzwonić.

– Dziękuję panu za wizytę. – Wstałem i podałem rękę na pożegnanie. Miał pewny uścisk dłoni. Nie za mocny, który zazwyczaj kruszy mi końce nerwów w dłoni, ale też i nie za lekki, kiedy to ktoś zamiast dłoni podaje zwiotczałego kikuta do pogłaskania. Był w sam raz. – Życzę powodzenia w śledztwie – dodałem.

Detektyw wyszedł, a ja schowałem kopertę ze zdjęciami do szuflady w biurku. Nalałem nieco więcej soku do szklanki i, stojąc przy oknie rozpościerającym się za fotelem, patrzyłem na ptaki kotłujące się na drzewie w uniwersyteckim parku. Za pół godziny miałem kolejny wykład. Wygrzebałem kilka drobnych monet z kieszeni marynarki i zszedłem do stołówki na lunch.

Do gabinetu wróciłem dopiero wieczorem. Na mojej sekretarce mrugała ikona sygnalizująca nową wiadomość. Pewnie Donaldson chciał dopytać, czy może przejrzałem zdjęcia – pomyślałem. Wcisnąłem przycisk odtwarzania, stojąc przy biurku. Dzwoniła Ann. Chciała chwilę porozmawiać i pytała, czy może przyjechać do Nowego Jorku na weekend. Ucieszyłem się. Tak bardzo chciałem odbudować swoje relacje z córką. Było już jed-

nak za późno na oddzwonienie. Obiecałem sobie, że zadzwonię do niej jutro z samego rana.

Usiadłem w fotelu i, zakładając nogi na biurko, snułem plany wspólnych eskapad po galeriach, wieżowcach, Central Parku, nabrzeżu... Było tyle miejsc, w które chciałbym zabrać Ann. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że praktycznie cały swój czas spędzam na uczelni. Przepracowuję się i jeżeli dalej tak pójdzie, nie będę miał możliwości poświęcić córce tyle uwagi, ile bym chciał. Przydałby mi się urlop. Nie tylko czasowy, ale i psychiczny. Chciałbym odpocząć od pracy naukowca i choć przez chwilę pomyśleć o rodzinie.

Już miałem wyłączyć lampę na biurku, gdy zauważyłem wystającą z szuflady kopertę. Przez chwilę się wahałem, ale uznałem to za szansę, za znak losu. Rzuciłem ją na biurko i skierowałem światło lampki na jego środek. W kopercie było kilkanaście zdjęć. Kilka pierwszych przedstawiało ciało kobiety zawieszona za nadgarstki na przęsle mostu kolejowego. Kolejne ciało mężczyzny, zwinięte w kłębek i leżące na wadze towarowej w jakimś magazynie. Oba ciała były nagie, ale to nie to zwróciło moją uwagę. Nie chodziło o zdjęcia zwłok, a o coś innego.

Na moście, obok miejsca, gdzie wisiała kobieta, leżały jej ubrania. Wzorcowo poukładane w kostkę, z butami ustawionymi równolegle do siebie przed stożkiem ubrań. Rogi starannie pozaginane, a rękawy bluzki złożone symetrycznie do środka. Obok wagi z ciałem mężczyzny stały metalowe odważniki, ułożone w równą piramidę, wyglądającą, jakby jej autor odmierzał od liniiki

odległości pomiędzy kolejnymi elementami. Według notatki do-
czepionej do zdjęcia było ich dokładnie 78,5 kilogramów. Dokład-
nie tyle, ile ważyło ciało leżące na wadze.

Odłożyłem zdjęcia na biurko i zamyśliłem się przez chwilę.
Z początku nie chciałem się w to angażować. Miałem swoje spo-
kojne życie, stateczny i skrupulatnie realizowany plan dnia, który
napełniał mnie pewnością, pozwalał zasnąć wieczorem. Jednak
czy chciałbym, aby tak właśnie wyglądała reszta mojego życia?
Dni mijające po sobie, jakbym każdego ranka wymazywał zbędną
pamięć z wczoraj i zastępował ją tymi samymi, jałowymi wspo-
mnieniami z dzisiaj. Czyżbym miał już nigdy nie przeżyć czegoś
wartego zapamiętania?

Pochyliłem się i wygrzebałem z kosza wizytówkę Donald-
sona. Wykręciłem numer. Odebrał po trzecim sygnale.

– Donaldson.

– Tu doktor Carter. Jeżeli to możliwe, chciałbym obejrzeć
miejsce, gdzie znaleźliście ciało.

– Jest pan na uczelni?

– Tak, dzwonię z biura.

– Będę za pół godziny.

Detektyw rozłączył się. Schowałem zdjęcia do koperty i
zamknąłem w szufladzie na klucz. Nie mam pojęcia, dlaczego nie
zrobiłem tego za pierwszym razem. Być może tak właśnie miało
być. Czułem lekką ekscytację, że zgodziłem się wziąć udział w do-
chodzeniu. Nie wiedziałem jeszcze, że kilka dni później będę tej
decyzji bardzo żałować.